

Każda historia zaczyna się w jakimś miejscu. Moja zaczęła się gdzieś w połowie drogi pomiędzy miasteczkiem A i miasteczkiem B. Miastem oraz byłym miastem w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Gdzieś w krzakach nad pobliską rzeką. Gdyby moja matula chętnie nie rozłożyłaby wtedy nóg, pewnie w ogóle by mnie nie było. Był rok 1978. Czerwiec. Lato w pełni. Po paru „och” i „ach” już byłem załążkiem przyszłego życia w misternie utkany planie szewskiego mistrza i etatowej krawcowej z miejscowej szwalni. Trzeba wspomnieć, że przez jakiś czas moi rodzice nie zdawali sobie sprawy z tego, że będę, więc doprawiano mnie kolejnym „och” i „ach”, rozkładając najczęściej przednie siedzenie w eleganckiej wersji fiata 126p bis. Jak mawiał mój ojciec, Bambino spisywało się bardzo dobrze. Zresztą zawsze wspominał ten szczyt polsko-włoskiej motoryzacji, i na temat Bambino wiele miał do powiedzenia.

- Wiesz, że fiat 126p w Polsce nazywany jest maluchem lub małym fiatem, w przeciwieństwie do fiata 125p, który jest zwany dużym fiatem. – mówił przy każdej okazji, gdy powracaliśmy gdzieś wstecz, przy wspólnym posiedzeniu stolikowym, przyjmując przy okazji kolejne dawki dziabągów; o czym później.

Odkrywcze to nie było, ale zazwyczaj kiwałem głową z aprobatą.

- A wiesz, że nasz cud techniki – bo tak nawet się wyrażał – w Albanii jest znany jako „kikirez”. W Chorwacji i Serbii to „peglica”. W Słowenii – „bolha”, na Węgrzech –

„kispolszki”. W Niemczech, Irlandii i w Wielkiej Brytanii –

„bambino”. Na Kubie – „polaquito”, a w Chile – „bototo”. Miał wiedzę, i to sporą, bez dwóch zdań, mój staruszek.

Wróćmy jednak do mnie.

Nadszedł rok pański 1979. Była zima, która dała się we znaki wszystkim. W niektórych miejscach zaspy śnieżne sięgały nawet pół metra. Do teraz takiej zimy nikt nie widział, przynajmniej na naszym terenie. Ojciec przebywał akurat na przepustce wojskowej, bo dostał w ryj, jak mówił, od pewnego generała podczas jakiejś chryi w knajpie w miasteczku C, i po wstawieniu metalowej płytki przez ruskiego dentystę dostał cztery dni wolnego. Spędzał je, chlejąc bimber z teściem, gdy moja matula prosiła się na oddziale położniczym w miasteczku A. Teść, a mój dziadek, pracował jako taksydermista w miasteczku B. Około godziny 20.00 dostał telefon – je- dyny wtedy aparat we wsi – że właśnie nadchodzi. Dzwonił sam ordynator oddziału, bo matula była dobrą krawcową szyjącą kiecki dla jego żony, więc wykonał ten gest osobiście. Ojciec i dziadek szybko ponoć wytrzeźwieli. Niecałe dwadzieścia minut potrzebował staruszek, by znaleźć się w szpitalu. Po drodze oczywiście zaopatrzył się w odpowiednie rzeczy: wódkę dla ordynatora, wódkę dla pielęgniarek, kwiaty i drobne upominki, typu papierosy i czekoladki. Była Wigilia – 24 grudnia, kiedy pchałem się na świat. Oj- ciec spędził na schodach szpitala niecałe trzy godziny, gdy dowiedział się, że jestem już pełnoprawnym członkiem lokalnego społeczeństwa.

Ponoć długo mi się przyglądano, niemalże jak małpce w zoo, wybierając imię. Stańło na Jezus z okazji mych na- rodzin w tym szczególnym dniu. Nazwisko przypisane z genów. Zostałem zatem Jezusem Chytrusem. Potem chlano dalej, aż do końca przepustki. Gwoli wyjaśnienia: Bambino zastąpiło dom. Tak, w tam- tych czasach za auto można było kupić dom. Kolejnymi cudami techniki zakupionymi przez staruszka były rów- nie magiczne auta: skoda octavia, która pierdziała ogniem przy odpaleniu; pospolita warszawa;

syrena 105l; potem długo duży fiat 125p z pięciobiegową skrzynią z 1991 roku; polonez, którego spalił mechanik; fiat uno; fiat bravo, i na koniec życia staruszka – daewoo lanos.

O rodzicach mógłbym napisać wiele. Ojciec, Bartłomiej, jak już wspominałem, był szewcem. Szył buty, które zdawały się tańczyć na własną rękę. Matka Elżbieta, była krawcową o zdolnościach, które potrafiły odmieniać rzeczywistość materiału.

Życie Chytrusów nie było jednak bajkowe. Mimo magicznych talentów rodzice Jezusa zaczęli z czasem narzekać na brak zleceń i coraz trudniejsze warunki życia. Buty samodzielnie tańczące przyciągały niewielu klientów, a zaczarowane suknie zdawały się tracić na popularności.

Wyrastałem w otoczeniu tkany z magii i codziennego trudu. Moje pierwsze kroki były równie niezwykle, jak urodziny – potrafiłem na przykład chodzić na rękach, zanim nauczyłem się stawiać pierwsze kroki na nogach. W miarę, jak dorastałem, magiczne zdolności zaczęły wybuchać we mnie niczym fajerwerki w noc sylwestrową.

Jako dziecko z fascynacją przypatrywałem się codziennym zajęciom swoich rodziców. W małej pracowni, gdzie zapach skóry i materiałów spleciony był z nutą magii, ojciec tworzył buty, które zdawały się posiadać własną wolę. Zaczarowane skórzane pary tańczyły po warsztacie, starannie zszywając się w niesamowity taniec. Obserwowałem, jak ojciec używał magicznych zaklęć, by nadać butom życie i radość. Każdy krok, każdy taniec buta był rezultatem misternego rękodziela i odrobiny magii Chytrusów.

– No żeż, kurwa! – syknął przez zęby ojciec.

– Co się stało? – spytałem przerażony.

– Nic, synku – odparł spokojnie ojciec. – Tak to już jest,

kiedy młotek odmawia na chwilę posłuszeństwa.

– Boli? – spytałem cicho, obserwując, jak ojciec oblizuje krew z palca.

– Nie. Chodź, zrobimy kolację – odparł z uśmiechem.

Matka Elżbieta z kolei oddawała się sztuce zaczarowanych sukienek. Jej warsztat tętnił energią magicznych nici i kolorowych materiałów. Suknie wykazywały zdolność do zmiany kształtu i koloru w zależności od nastroju osoby, która je nosiła. Zachwycąłem się, gdy matka zamieniała zwykłą suknię w majestatyczną kreację, a potem z powrotem, jakby to było dziecinnie łatwe.

– A to dla mojego Jezuska – rzucała w moją stronę i przymierzała coraz to bardziej wymyślne stroje. – Jesteś królem, pamiętaj. Król musi nosić się po królewsku, by kiedyś znalazł sobie odpowiednią królową...